

Kronika

tygodniowa

W dzisiejszych czasach stali się ludzie jeszcze większymi egoistami, niż byli nimi dotychczas. Każdy myśli tylko o sobie, o tem, aby jemu było dobrze, o to zaś nikogo głowa nie boli, co się też dzieje z jego blizim, czy nie powinno się przyjść mu z pomocą w potrzebie. Ostatecznie niema się i czemu dziwić. Każdy ma obecnie tyle własnych kłopotów, że cennie zupełnie go nie obchodzi. Dzieliliby się, co prawda, z drugim i to nawet bardzo chętnie, ale tylko pod tym warunkiem, jeżeli tamten ma więcej od niego i mógłby mu coś odstąpić, sam ze swojego, choćby nawet okazała się i pewna nadwyżka, nie nie odstąpi, tłumacząc, że chowa to na „czarną godzinę“.

Są jednak i w tej regule życiowej wyjątki, a z jednym z nich spotkał się kronikarz w ubiegłym tygodniu na drodze swojego szarego żywota.

Znalazł się człowiek o dobrym sercu, który, wiedząc o tem, że kronikarz jest jako ów ptak niebieski, co to nie słońce, ani orzeł, a przecież jeść musi, zaopatrzył jego szpitalnicę (przedstawiającą stale bez nadzieję próżnię...) w koszyczek jabłek i woreczek kilkunastofuntowy maki na chleb. Ofiarodawca, znany pod nazwą „gruby dziedzic“, ze względu na rozmiar swojej cielskiej powłoki, dowodził w ten sposób, że ma i dobre serce, które kate mu się podzielić z mającymi mniej i muszącymi, zwłaszcza w mieście tak wielkiem jak Kraków, borykać się z losem, który jako „garbaty“ jest i uparty i ani rusz nie chce ustąpić.

Venizelosowi, jak doniosły w poprzednim numerze „Nowości Ilustrowane“, ofiarowali wdzięczni Grecy złoty wieniec za zasługi obywatelskie, ale z pewnością tak go ten dowód uznania nie ucieszył, jak kronikarz ten dowód życzliwości i pamięci, jaki go spotkał i to prawie niespodziewanie. Różni ludzie obceywali mu już różne rzeczy, skończyło się przecież na samych obietnicach, bo to teraz w modzie. I Lloyd George obiecuje także na prawo i na lewo, a potem o obietnicach zapomina. A że Lloyd George uważa jest dziś za największego męta stanu, mał mętowie stanu chcą też w jego ślady wstępować. To nie kosztuje zbyt wiele, obiecać nawet bardzo dużo, jeżeli się z góry postanowiono nie dotrzymać obietnicy. W tej myśli i Niemcy podpisali warunki traktatu pokojowego w Wersalu.

O ileż to zatem piękniej, gdy ktoś, tak jak to było w tym wypadku, nie obiecuje, ale spełnia czyn dobry i szlachetny, stwierdzający, że są jeszcze ludzie, mający serce i niem się kierujący... „Łaknącego nakarmić“, to uczynek miłosierny wprowadził tylko co do ciała, ale w tym wypadku i co do duszy, dodając ufności, że rodzaj ludzki nie jest tak zły, za jaki się go nieraz przedstawia.

Na obecne stosunki był to prezent nielada, jeżeli się zważy, że przedkąt obywatel miasta Krakowa, bez względu na swój apetyt, otrzymuje tygodniowo fant chleba kontyngentowego (w ostatnim tygodniu za dziesięć marek), a porcja ta wystarcza najzupełniej na jedno posiedzenie, jak się o tem kronikarz miał sposobność na własne oczy przekonać. Jeden z głodomorów dziennikarskich, otrzymawszy swój tygodniowy fantowy przydział, załatwił się z nim od jednego zamachu i bynajmniej się nie zmęczył, ani spocł, w kwadrans zaś oświadczył, że chętnie przetrząłby coś lekiego. Niestety, nie było nie pod ręką, prócz kartki na pobór ropy i świece, która jest wprowadzić bardzo lekka, ale bynajmniej nie pożywna.

Mąka zatem mile polecała po sercu Weronikę, która na poczekaniu obliczyła, ile z tego będzie bochenków chleba, zapowiadając wżem wobec, że z tą chwilą zwiększone zostają codzienne racje, przypadające na każdego członka rodziny. Jabłka uradowały natomiast bardziej kronikarza, który jest ich amatorem, ale, ze względu na ich obecną cenę, musi się wyrzec takiego zbytku.

Jabłko w historii świata odegrało już nieraz ważną rolę „nie też dziwnego, że królowi podczas aktu koronacji daje się złote jabłko do ręki. (Udziałem zwykłych śmiertelników są jedynie złote gruszki... na wierzbie!). Jabłko było powodem wypowiedzenia przez Pana Boga Adamowi dzierżawy raj, jabłko stało się przyczyną wojny trojańskiej, a teraz niewiele brakowało, a byłoby wywołało wojnę domową między kronikarzem, a jego lepszą połową. Weronika była zdania, że jabłko to są tak piękne, iż należy je sować, kronikarz zaś, z tego samego powodu, oświadczył, iż powinno się je zjeść, aby się nie zepsuły. Weronika wychodziła z założenia, że decyzya co do

artykułów spożywczych należy do niej jako do gospodarz, kronikarz bronił swego stanowiska tem, że jabłko było przysłane dla niego.

— Sąd wiesz, że dla ciebie? — wrzasnęła z pasją. — A może akurat dla mnie?... Może ten pan się we mnie kocha?...

Udało się wreszcie przekonać ją, że ofiarodawca kochać się w niej nie potrzebuje, mając swą własną żonę, kronikarz postawił na swoim i jabłko zostało zjedzone. A trzeba im przyznać, że były doskonale, wpłynęły bardzo dodatnio na kronikarskie organa trawienia, podniecając apetyt, mogą być więc zupełnie słusznie uważane za kuracyjne.

Jednem słowem, obywatel ów sprawił kronikarzowi nadzwyczajną przyjemność, za którą już mu osobiście podziękował i jeszcze raz to obecnie czytał, stawiając go innym za wzór, godny naśladowania. Dziś, gdy primadonam operowym ofiaruje się skórę na buty, a słynnemu tenorowi kilogram klebasy lub wędzonki, taki dowód uznania jest najmiłszy. Kwiaty, a nawet klejnoty, nie robią takiego wrażenia, jak artykuły codziennej potrzeby, o które tak trudno.

Gdyby ten i ów z Cytelników chciał pójść w ślady owego zacnego męta i od czasu do czasu podzielić się z kronikarzem nadmiarem swych zapasów, sobie nie zrobiłby uszczerbku, a jemu ułatwiłby doczesną pielgrzymkę, która nie jest bynajmniej „po rękach“. Nie musząc starać się o wyszukiwanie źródeł, gdzie mógłby się zaopatrzyć w to wszystko, co do życia niezbędne, miałby i więcej czasu i nerwy do pisanja. Lokomotywa, o ile się ją nie nakarmi węglem i nie napoi, stanie w drodze, organizm ludzki jest też takim małym pociągiem, który potrzebuje opału pod postacią darów Bożych. Żołądek, to najważniejszy organ ciała ludzkiego, utrzymujący inne w równowadze, wymagający też specjalnych starań i troskliwości. A że to dziś przychodzi z taką trudnością, nie też dziwnego, że serce ludzkie najłatwiej sobie zdobyć drogą na żołądek.

Nie zapominajcie zatem o kronikarzu Stanowni Cytelnicy, a zwłaszcza Wy o czułym sercu Cytelnicki i aprowizujcie go, aby mógł *procul negottis apronsatoris* tem intensywniej oddać się zawodowej pracy. To go bardziej ucieszy, niż nadzieja, że po najdłuższym życiu zacznie się zbierać składki na jego pomnik, który, krakowskim zwyczajem nie ujrzy nigdy światła dziennego.

W dzień, w który kronikarz radował się jabłkami i mąką, zostawał Kraków pod znakiem głęsi. Ze względu na zbliżające się imieniny świętego Marcina, postarał się nasz magistrat o pięćset pomorskich głęsi, tlnstych i chudych, które, jak ich poprzedniczki uratowały Rzym od Gailów najazdu, miały gród podwawelski uratować od głodowej śmierci. Cóż to jest jednak pięćset głęsi, i to do tego przeważnie chudych (tłuste zjedli protegowani!) na miasto z ludnością ponad ćwierć miliona?... Nie wystarczy nawet po jednej głęsi na każdą kamienicę!

Cena ich — dwieście, ewentualnie dwieście pięćdziesiąt marek — stosunkowo bardzo przystępna, dla wielu jednak... niedostępna. Kronikarz nie traci nadziei, że przypomni sobie może, jak głęsiaka smakuje, ale tylko w tym wypadku, jeżeli ten sympatyczny ptaszek nadleci doń tą drogą, którą nadeszła mąka i jabłko (choć nog nie mają!).), nabycie jej za gotówkę wymagałoby postarania się o nadzwyczajne kredyty, ewentualnie wygrania miliona na premiówkę.

Do onych głęsi pomorskich było jednak wiele wzwanych, a stosunkowo mało wybranych, jedna bowiem przypadała przeciętnie na pięćset głodnych. Koma zatem udało się ją zdobyć, awiał się za bardzo szczęśliwego i spieszył ze swym gagającym skarbem pod dach rodzinny. Patrzano nań ze zazdrością, a z tłumem dochodziły głosy:

— Paskarz!...

— Szczęśliwiec!... Ten jeszcze w tym tygodniu będzie utywał na głęsinie!...

Widziałem na własne swe oczy jednego ze znajomych, który dzwigał głęś pod pachą, przyiskając ją do serca czule, niż kochankę. W oczach jego błyskały ognie tryumfu, że przecież wyprawa na Warszawskie nie była bez skutku. Takiej miny nie miał nawet Lohengrin, gdy go łabędź wciągał w łodzi na scenę...

Kraków „rozgęsił się“ na chwilę, można zatem żywić nadzieję, że uroczystość św. Marcina będzie w niektórych domach obchodzoną z tradycyjną wyśławnością.

I teraz dopiero widzimy, co mamy do zawdzięczenia obecności rządowi. Miał rację „Piast“, pisząc, że Polska ma do zawdzięczenia wszystko ludowcom. Tak jest!... Nawet i głęsi!... Gdyby prezydent Witos nie był pojechał na Pomorze i nie zakupił tam głęsi, czy byłbyśmy je w Krakowie oglądali?... Z pewnością nie!... I choćby tylko ze względu na te głęsi, zaczy-

namy do Polskiego Stronnictwa Ludowego nabierać coraz to większego zaufania.

Bledne głęsi, które do nas przyjechały z Pomorza, ani się nawet spodziewają, jakie ich tu czeka gorące przyjęcie. Wszystko ma jednak swój koniec i o nich rychło się zapomni, chyba, że ktoś z przejeżdżających nabawi się kataru żołądkowego lub innej podobnej dolegliwości.

Ważniejsza natomiast kwestya, dlaczego jest tak zimno i czy możemy się spodziewać, że nastaną jeszcze dni cieplejsze. Niektóre z niewiast twierdzą, że tego roku nie było „babiego lata“, a one praw swych rzekają się nie myśla. O „babie lato“ dopominają się jedynie niewiasty starej daty, postępowe obchodzą lato razem z rodzajem męskim.

W każdym razie warto się nad tem zastanowić, skąd się wzięły takie mrozy i to już w październiku, zatem w jesieni, i to przy obowiązującym czasie letnim.

Jedni twierdzą, że, skoro codziennie musimy wstawać o godzinę wcześniej, słusznem jest i sprawiedliwym, aby i zima przyspieszyła swe przybycie, wczesniej w takim razie oczekamy się i wiosny. Ale nie brak i takich, którzy te zimna przypisują jaseralskiemu strajkowi protestującemu, jaki wybuchł w niebie między duchami na wiadomość o wynalasku Eisena, o którym wspominaliśmy w poprzedniej kronice. Zastrajkował widocznie i r-fierant od pogody, zastępując go zaś ktoś niefachowy. Na jest także wykluczonem, że niebieska Centrala mrozów, chcąc się pozbyć pozostałych z poprzedniego roku zapasów nagromadzonych w jej magazynach, postanowiła je, przed rozpoczęciem nowej kampanii zimowej, oddać do publicznego użytku, że zatem te mrozy odaleść należy do minionej zimy, a nie brać ich na rachunek dopiero nadchodzącej.

Kronikarz, lubiący mieć wiadomości z pewnego źródła, zwrócił się w tym celu do jednego z naszych znanych meteorologów, który oświadczył, co następuje:

— Mrozy mamy, to jest fakt, stwierdzony termometrem. Przyczyną ich obalanie się temperatury, co w tych czasach nie należy do rzadkości. Czy będzie jeszcze ciepło, to dopiero przyszłość pokaze. Jeżeli pan ciekawy, trzeba codziennie kontrolować termometr...

— A jeżeli się go niema?

— W takim razie trzeba się wań zaopatrzyć. Bo i jakże w inny sposób przekonać się, czy jest zimno, czy ciepło?... W każdym razie nie zanosi się na to, abyśmy w listopadzie lub grudniu mieli mieć upały...

— Jaka będzie obecna zima?

— To się dopiero pokaze w dalszym ciągu. W sierpniu ogłosimy dokładne sprawozdanie, z którego się pan dowie o wahanach temperatury i jej przeciętność...

Ciekawym zatem do sierpnia, kogo zaś stać na to, niech się na wszelki wypadek zaopatrzy w węgle, gdyż zbliżająca się zima będzie ciężką. Tego zdania jest jeden ze znajomych kronikarza, a wnosi to z okoliczności, że ma się łysina zaczyna pokrywać świeżymi włosami, co ma być niechybnym znakiem wielkich mrozów.

— Chyba, gdybym się mylił — dodał na zakończenie — ale to mi się bardzo rzadko zdarza...

Na drogę półkuli było natomiast w tym okresie gorąco, zwłaszcza zaś w dniu 2. listopada. Obywały się wybory prezydenta Stanów Zjednoczonych, które były zarazem pogrzebem dotychczasowej polityki zagranicznej Wilsona. I nad nim i nad nią przeszli Amerykanie do porządku dziennego, pokazując Lidie Narodów... figę. Wobec tego cały traktat pokojowy tracił swą wartość i, kto wie, czy nie będzie trzeba rozpocząć na nowo wojnę, aby dojść do porządku.

Kto wie, czy nie wyszlibyśmy dobrze na tem!... Nauceci doświadczeniem, wiedzielibyśmy teraz, jak się zabrać do rzeczy, aby postawić na swoim.

Ameryka rozstrzygnęła wojnę, teraz wywróci do góry nogami pokój. Z tamtej strony idą same niespodzianki. Z Ameryki pochodziła przecież ta anarchizująca mąpa, która spowodowała w Grecji zamach stanu. Wiadomości, podane przez niektóre pisma, jakoby miała ona stać w bliskich stosunkach z Lloydem George'm, nie sprawdzają się. Na wszelki wypadek wszystkie maipy z Europy skazano na banicję, w szczególności zaś amerykańskie, jako najbardziej zagrażające europejskiemu porządkowi!

Abym już z polityki nie wychodził, skoro się z tej beczki zaczęło, należy wspomnieć o podjęciu dalszych rokowań pokojowych w Rydze, dokąd się już wybrał pan Joffe i czeka tam na pana Dąbskiego. Wprowadził Wielki Sowiet w Moskwie nie chce aprobować rygielskiej umowy, mając nadzieję, że Trocki tymczasem załatwi się z Wranglem, a potem zabierze się zaów do Polski, ale miejmy nadzieję, że większy Pan Bóg, niż pan Rymsza. Zresztą sam Joffe nie może na to pozwolić, aby dzieło jego miało zostać przekreślone. Straciłby na reputacji!...